Nr. 47. Lwów — 1889 r. Rok XII.

Numer pojedyńczy 15 ct.

GONIEC

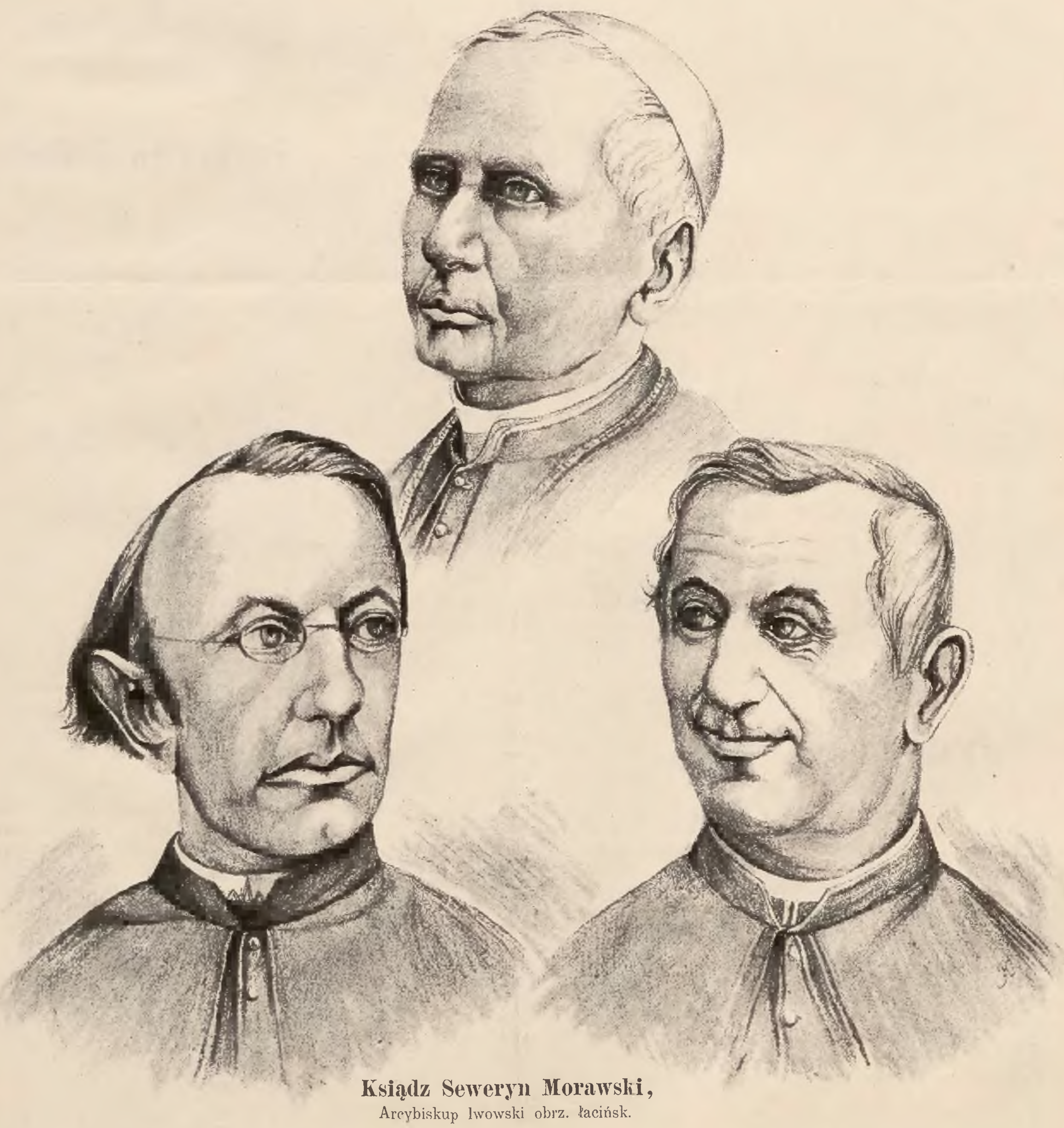
Numer pojedyńczy 15 ct.

Dziennik dla wszystkich illustrowany.

„Goniec“ i **„Iskra“** wychodzą każde po dwa razy na miesiąc, w czwartki - razem cztery razy. Prenumerata *na obydwa pisma* wynosi tak w miejscu, jak i na prowincji kwartalnie 2 złr., półrocznie 4 złr., rocznie 8 złr. W poznańskiem i w Niemczech 16 marek rocznie, we Francji i innych krajach, oraz w Ameryce północnej 20 franków (4 dolary); rocznie w Ameryce południowej, w Brazylji, Australji i innych krajach zaoceanowych 25 franków — stosunkowo na kwartał i pół roku. Za ogłoszenia opłaca się 8 ct. za wiersz drobnem pismem, lub za jego miejsce. Opłata od ogłoszeń większych stosownie do umowy. Za granicą ogłoszenia przyjmują wszystkie biura ogłoszeń. Prenumeratę i wszelkie należytości przesełać najdogodniej przekazami pocztowymi, lub w listach rekomendowanych, albo pieniężnych: **do Administracji „Gońca“ i „Iskry“ we Lwowie, ulica Kraszewskiego l. 23.** Z Ameryki najdogodniej przesełać prenumeratę dolarami papierowymi *w listach rekomendowanych.* Listy powinny być frankowane. Numera odnoszą się zawsze do mieszkania każdego miejscowego prenumeratora. Za odnoszenie do mieszkania numerów, dopłaca się roznosicielowi drobną kwotę co miesiąc.

Właściciel i naczelny redaktor: M. D. Chamski.

Trzech Arcybiskupów lwowskich.



Ksiądz Seweryn Morawski,
Arcybiskup lwowski obrz. łacińsk.

Ksiądz Sylwester Sembratowicz,
Arcybiskup lwowski obrz. unickiego.

Ksiądz Izaak Issakowicz,
Arcybiskup lwowski obrz. orm.

(Patrz artykuł pod tym samym tytułem).

Od Administracji.

Szanownych pp. abonentów zalegających w prenumeracie, prosimy usilnie o odnowienie bieżącej i zalegającej prenumeraty, gdyż zaległości takie są dla wydawnictwa bardzo uciążliwe i po prostu krzywdę jego interesom wyrządzają. Zwracamy też bliższą uwagę pp. prenumeratorów w Ameryce zamieszkałych i prosimy ich o odsełanie zaległej prenumeraty, bo osobna z nimi korespondencja jest kosztowna.

Wszelkie pieniężne należytości prz selać należy w liście rekomendowanym, lub przekazem pocztowym **do Administracji „Gońca" i „Iskry" we Lwowie ul. Kraszewskiego liczba 23.**

Trzech Arcybiskupów lwowskich.

(Do portretów).

Trzech książąt katolickiego kościoła podajemy dziś wizerunki. Duchowni ci dostojnicy, z mocy swych stanowisk i urzędów, są zarazem posłami do Sejmu krajowego.

Trzy obrządki katolickie: łaciński, unicki i ormiański, mają równe prawa, równe obowiązki i równą odpowiedzialność przed Głową kościoła katolickiego, Ojcem świętym. W naszych stosunkach politycznych, więcej, jak gdziekolwiek indziej, harmonja w sprawach religijnych błogosławione przynosi owoce — rozterki w tych kwestjach dotykających formalnej strony, a nie gruntu rzeczy, drażnią niepotrzebnie uczucia, zaogniają i zużywają działalność ludzi dobrej woli w niewłaściwych kierunkach, która skierowana na odpowiednie tory, przynosi zbawienne owoce dla ogółu.

Trzej Arcybiskupi lwowscy, trzech obrządków katolickich, są, właśnie, wzorem tej harmonji, opartej na wzajemnym szacunku, na miłości chrześcijańskiej — na świętych interesach powszechnego kościoła katolickiego. Społeczeństwo nasze, pojmuje to głową i sercem — i równym, a głębokim szacunkiem otacza tych trzech książąt kościoła katolickiego.

Wysokie cnoty kapłańskie i obywatelskie, jakiemi odznaczają się nasi Arcybiskupi lwowscy, jednają im serca wiernych, a sumienne i gorliwe spełnianianie tak trudnych pasterskich obowiązków, przynosi zaszczyt ich charakterowi osobistemu i powołaniu duchownemu, którego są prawdziwą ozdobą.

Od ręki.

= Zjazd chirurgów polskich w Krakowie.

Dobra wola, szczere intencje i wytrwałość, szczególniej w naszych stosunkach, mogą bardzo wiele zdziałać. Dowiódł tego dr. Rydygier — nietylko, bowiem, w krótkim przeciągu czasu doprowadził budowę kliniki chirurgicznej w Krakowie, którą się tamtejszy świat lekarski chlubić może, ale zainicjował **pierwszy** zjazd chirurgów polskich, odbyty w zeszłym tygodniu w Krakowie, który wypadł znakomicie. Społeczeństwo polskie dumne jest ze swoich lekarzy, którzy w najcięższej doli narodowej, niosą wysoko sztandar nauki polskiej, i ani na krok nie ustępują kolegom cudzoziemcom pracującym w daleko szczęśliwszych warunkach, a nie rzadko talentem i i nauką przewyższają ich. Fakultet medyczny w Krakowie w osobie dra Rydygiera pozyskał ogromną siłę naukową i obywatelską. Niedawno objął dr. Rydygier katedrę chirurgji w krakowskim uniwersytecie a już zdołał pokazać, co się od męża takiej miary, społeczeństwo polskie może spodziewać...

Szczęść Boże zacnej pracy! Niech idzie na pożytek cierpiącym, na sławę starej Jagiellońskiej Wszechnicy i na sławę dzielnego i znakomitego jej profesora!...

= Języki ludzkie.

Najwięcej ludzi mówi po chińsku, bo przeszło 400 milionów, to jest więcej, aniżeli jest ludzi w całej Europie. Językiem staroindyjskim mówi 100 miljonów, angielskim językiem mówi także 100 miljonów ludzi rozrzuconych po Europie, Ameryce, Azji południowej i Australji. Po rosyjsku mówi niby 70 miljonów, ale liczą w to i rusinów, których jest pod rosyjskiem panowaniem około 12 miljonów i którzy mówią po rusińsku. Po niemiecku mówi około 50 miljonów, licząc w to i tych niemców, którzy mieszkają w Austrji, w Ameryce i w innych częściach świata. Po hiszpańsku mówi 50 miljonów w Europie, w Ameryce i po wyspach. Po francuzku mówi 45 miljonów, po włosku 27, po portugalsku 25, czegoby nikt nawet nie myślał, patrząc na ten mały kraik w Europie, ale tym językiem mówią po licznych kolonjach Portugalji. Po polsku, w ogóle, mówi 24 miljonów, licząc w to tych litwinów i rusinów, którzy w potocznem i rodzinnem pożyciu, posługują się językiem polskim.

= Z Ameryki.

W „Echu", piśmie polskiem wychodzącem w Buffalo, czytamy bardzo charakterystyczny epizod z tamtejszego życia polaków:

„Niedawno w tutejszym sądzie (w Buffalo) rozegrała się zabawna scena.

Przed sędzią Kingiem, stanęła pewna energiczna polka, oskarżona o pobicie swego sąsiąda, znanego ze skromności...

Obiedwie strony i skarżący, i oskarżony nie umiały po angielsku, to też każda przyprowadziła ze sobę tłómacza. Choć zwykle do jednej sprawy potrzebny jest tylko jeden tłómacz, lecz przysłowie powiada, że „od przybytku głowa nie zaboli".

Zdawałoby się więc, że wszystko będzie dobrze!

Tymczasem stało się inaczej. Gdy tylko jeden tłómacz zaczął objaśniać sędziemu słowa strony i świadków, w tej chwili przerwał mu drugi i wołał, że tamten łże!

Zrobił się z tego taki barmider, że sędzia King, nie mogąc nic zrozumieć, wszystkich, i świadków, i tłómaczy wyrzucił za drzwi.

Pokazuje się, że czasem... od przybytku głowa zaboli!"

= Precz z gorsetem! Niech żyje gorset!..

Kronikarz warszawskiej „Roli" tak w kwestji gorsetowej pisze:

„Precz z gorsetem! Niech żyje gorset! oto najświeższe hasła rozlegające się w świecie pięknych despotek, które w imie liberalizmu pragną odebrać mężczyźnie wszelkie prawa i przywileje, jakiemi cieszył się dotąd od stworzenia świata począwszy, i zagarnąć je na swój wyłączny monopol.

Precz z gorsetem! woła pani Carmichael-Stopes na mitygu niewieścim w Londynie.

Niech żyje gorset! odpowiada jej na tymże mitygu p. Barstown, słynna podróżniczka, która utrzymuje, że sto razy byłaby umarła w ciągu pieszych swoich podróży, gdyby nie — gorset!

Strapione uczestniczki zebrania, nie mające stanowczo wyrobionej opinji w tej ważnej kwestji, skłaniały się to na jedną, to na drugą stronę, i mityng rozszedł się nie powziąwszy żadnej stanowczej rezolucji...

Ten brak stanowczości wlewa kroplę otuchy w strwożone serce moje; wiem, bowiem, dokumentnie, że po tym mityngu w kwestji ubrania własnego, niewiasty angielskie zamierzają zwołać między sobą ogólny mityng wszecheuropejski w kwestji ubrania męzkiego. Na tym mityngu mają zapaść uchwały, jak mamy się ubierać, które części ubrania naszego mamy ustąpić reprezentantkom nietylko piękniejszej, ale lepszej, mędrszej, zacniejszej połowy rodu ludzkiego, a jakie znów nawzajem mamy przejąć od nich. A rezultaty tego mityngu tem dotkliwsze mogłyby być dla nas, że, jeżeli moi korespondenci dobrze są poinformowani, dyskusja ma się głównie toczyć około pewnych części ubrania, i ma być mowa o zupełnej między nami i niemi onych części zamianie...

Cała nasza nadzieja w nieporozumieniach sławetnego mityngu, o ile jednak w tę nadzieję dufać możemy, niewiem. Dawniej wprawdzie mawiano u nas:

„Dwie niewieście,
„Jamark w mieście".

ale to było dawniej. Teraz inaczej — oho! inaczej!..."

= Łzy i gniewy aktorskie...

Aktorzy komedji francuskiej, ludek niezmiernie wrażliwy i drażliwy, pyszny i hałaśliwy, jak cała brać aktorska, niepokoją od kilku tygodni cały kraj. Piszą o nich wszystkie gazety, zabierają głos mężowie poważni i szanowani, miesza się do ich sporu sam rząd. Bo oto życzy sobie krytyka i publiczność, aby starszy Coquelin, który włóczył się, jak wiadomo, przez kilka lat po świecie, wrócił napowrót do komedji, a jego koledzy z panem Mounet-Sully na czele opierają się wszystkiemi siłami ingresowi nieobecnego konkurenta. Powstała ztąd wrzawa, która zagłuszyła na czas pewien wszystkie, daleko ważniejsze sprawy. Idzie głównie o to, że Coquelin żąda corocznie sześciomiesięcznego urlopu, aby mógł podczas różnych *tournées* nabić porządnie kieszeń, a jego koledzy nie chcą, aby się dyrekcja teatru zgodziła na ów urlop, czyli, aby Coquelin nabił swą kieszeń. Ztąd — łzy i gniewy.

Złowroga piękność.

Przekład z angielskiego **E. H.**

przez autorkę „Miłość jego życia".

(Ciąg dalszy, patrz Nr. 57 „Iskry").

ROZDZIAŁ III.

Grosvenor.

Kto była Vida Carolan?

Upłynęło blisko lat czternaście, od czasu gdy ciało Percivala Cleremonta wydobyto z Sekwany, a Dave Devereux kilku słowy zniszczył cały dobrobyt i powodzenie Estery Ransome, i oto znowu zaczyna się opowiadanie nasze, tylko rzecz się dzieje nie w Paryżu, ale w Londynie, i nie w czerwcu, lecz w maju.

Maj w Londynie, — „wesoły miesiąc", jak go dotąd lubią nazywać poeci, chociaż ten przymiotnik nie odpowiada, bynajmniej, porze deszczów, wiatru i słoty. W owym dniu jednak słońce świeciło jasno, tak, iż ludzie mogą sobie wyobrażać, że jest gorąco i, że w istocie nadeszło lato. Może ten, kto rządzi pogodą miał estetyczne gusta i uśmiechał się na widok arcydzieł Burna Dżonsa i Alberta Moora, ponieważ dzień ten przeznaczonym był na „prywatne zwiedzenie" galerji obrazów w Grosvenorze (zwane tak dla tego, że, bynajmniej, prywatnem nie było), szkoda więc byłaby nieodżałowana, gdyby przy takiej okazji panie, nie wystroiły się w modne toalety letnie.

Wsparty na marmurowej konsoli w kącie galerji, szlachetny Rokeby Danvers z zadziwieniem słuchał kilkakrotnie powtarzanych wyrazów, które jego przyjaciel, Laurenty Summers, przypatrując się przez lornetkę napływającym arystokratycznym tłumom, rzucał w formie pytania: Spodziewam się, że Vida Carolan tu będzie!

Spostrzegłszy, nareszcie, zdumienie towarzysza, Laurenty rozśmiał się pobłażliwie i z rozjaśnioną twarzą rzekł z akcentem politowania:

— Ach, biedaku! zapomniałem, żeś dopiero przyjechał z Berlina, a Vida Carolan ukazała się na horyzoncie zaledwie od miesiąca, nic więc dziwnego, żeś o niej nie słyszał. Tego kto ona jest rodem, kto był jej ojcem, lub matką, nic nie wiem, zarówno, jak inni; jest to tajemnica. Najznakomitsi plotkarze nic się o niej dowiedzieć nie zdołali; pod każdym innym względem mogę ci udzielić bardziej szczegółowych o niej wiadomości. Niezawodnie, nikt więcej nie wie odemnie.

— Gotówbym to zaprzysiądz, — odrzekł Rokeby, — jesteś przecie sławnym nowiniarzem klubowym. Otóż i Beatrixa Mansfield — czyż to nie prześliczna osoba? No, mówże o tej swojej Miss, Mrs, czy Mademoiselle Carolan.

— Miss — dzięki niebu! Możesz próbować szczęścia, mój chłopcze. Nie mademoiselle, — mówi że jest angielką — lecz mogłaby się nazwać francuską, włoszką, lub niemką, albo też przyznać się do tych wszystkich razem narodowości, ponieważ mówi tymi językami równie dobrze, a może lepiej, niż po angielsku

— Niezwykła osoba! przerwał Danvers. Czy nie amerykanka?

— Amerykanka! Co ci się też śni! Ma najsłodszy głos, jaki mi się w życiu słyszeć zdarzyło. Nie śmiej się, Danversie; będziesz jej wielbicielem jak wszyscy. Jestto czarująca istota! Niepodobna nazwać jej pięknością — to takie pospolite wyrażenie. Nigdy w życiu nie widziałem równie zachwycającej dziewczyny, a przecież, jak każdy z nas, miałem sposobność przypatrzeć się tylu pięknym pannom i mężatkom. Będzie tu niezawodnie za chwilę, a jeśli się w niej nie zakochasz od pierwszego wejrzenia, masz serce ze skały.

— Słowo daję, podbudzasz moją ciekawość do najwyższego stopnia. Mówże dalej, słucham cię z niezmiernem zajęciem. Powiedz mi wszystko, co doszło do twej wiadomości o tej tajemniczej bogini.

— Jest ekscentryczną, niepodległą światowym wymaganiom — cyganeczką, wszystkiem, co zechcesz, — mówił Laurenty. — Mieszka przy ulicy Hertford elegancko i bardzo przyzwoicie, prawdę mówiąc prawie sama jedna, ponieważ przy niej znajduje się tylko stara duegna, a podobnego rodzaju osoby najczęściej służą tylko do osłonięcia pozorów. Pomimo tego, Vidę Carolan przyjęto w towarzystwie, — a raczej ona przyciągnęła towarzystwo do siebie. Jakim cudem? Spytaj o to wyroczni delfickiej, gdyż ja ci tego wytłómaczyć nie zdołam. Mówią, że pochodzi z dobrego rodu jednego z hrabstw wschodnich. Że w niej szlachetna krew płynie, o tem wątpić nie podobna. — Jest wysoko ukształcona, gra znakomicie i wszyscy latają za nią — nawet piękne kobiety, które jej zazdroszczą.

— Na Jowisza! — zawołał Rokeby, — muszę się postarać, aby jej zostać przedstawionym. Spodziewam się, że to nie będzie trudnem?

— O bynajmniej! Poznałem się z nią przed dwoma dniami u mrs. Staunton. Mogę cię zaprezentować

Danvers podziękował przyjacielowi i zaczął się znowu przyglądać nadpływającemu tłumowi z większym, niż przed chwilą interesem. Szukał nowej gwiazdy, która się nagle ukazała na horyzoncie londyńskiego świata.

A ciekawe to były tłumy. Podobne tylko w galerji Grosvenoru widzieć można, kobiety długie, chude, jak widma, wązkie, jak ramy niektórych obrazów i równie nienaturalne, jak wiele z tych malowideł; o blado żółtawych włosach, w obcisłych sukniach ciemnozielonego, lub wypłowiałego niebieskiego koloru, dzięki pudrom trupio-blade, z nienaturalnie wyuczonym uśmiechem, ruchami i wzrokiem stosownym do okoliczności.

Przypatrując się tym figurom, przesuwającym się po galerji Grosvenoru, można sobie wyobrazić, że się jest nowoczesnym Ulisesem, przyglądającym się cieniem zmarłych.

— Cóż mówi Dave Devereux o nowej piękności? — spytał Danvers po krótkiem milczeniu.

— Jeszcze jej nie oglądał. Jest za granicą od czerwca przeszłego roku i wraca do Londynu dopiero w przyszły poniedziałek. Cicho! — zawołał nagle, chwytając przyjaciela za ramię; — otóż i ona... słowo daję, idzie w tę stronę. Zobaczysz ją tu doskonale za chwilę.

Że do galerji weszła jakaś znakomitość, świadczył o tem nieprzyzwoity, jak na wyzsze towarzystwo, szmer i tłok.

Danvers uczuł ochotę przyłączenia się do tego tłumu; lecz filozoficznie usposobiony z natury, powiedział sobie, że miss Carolan z kolei dojdzie do miejsca, gdzie on się znajduje, a że był w wygodnym kącie, więc postanowił w nim zostać.

— Zobaczymy ją ztąd równie dobrze, jak z każdego innego miejsca, — rzekł, jakby tu szło o jaką procesję uliczna, lub inne podobnego rodzaju widowisko, — chociaż w obecnej chwili bóstwo twoje tłum zasłania.

— Wnet je ujrzymy. Zdaje mi się, że jest w towarzystwie lady Morvyn i sir Tomasza — widziałem ich tuż przy niej.

Tłum posuwał się zwolna, nikt żadnej na malowidła nie zwracał uwagi, jakby na nie wcale nie było warto patrzeć, lecz wszystkie oczy skierowane były na wysoką, wysmukłą pannę, która poruszała się spokojnie, rozmawiając swobodnie z towarzyszącemi jej osobami, oddając ukłony znajomym, a zresztą tak żadnej nie zwracając uwagi na hołdy, których widocznym była celem, jakby się ich, bynajmniej, nie domyślała, lub w najwyższym stopniu posiadała sztukę ukrywania swych wrażeń.

W taki sposób doszła, nareszcie, do miejsca, w pobliżu którego stali dwaj rozmawiający o niej poprzednio przyjaciele.

— Boże! cóż to za piękność! Cudowna dziewczyna! — zawołał Danvers, tłumiąc oddech w piersiach.

Prześliczna to była postać, dziwnie kształtna i harmonijna w całości. Twarz owalna o cerze smagłej, bladej, jak opal przejrzystej, szerokie, otwarte czoło, duże ciemno piwne oczy, błyszczące z pod długich czarnych rzęs, wygiętych w górę; delikatne purpurowe usta, stanowcze, a pełne wyrazu, w uśmiechu odkrywające śliczne, białe, równe i świecące ząbki: mnóstwo ciemno-kasztanowatych włosów, w krótkie loki ułożonych na kształtnie osadzonej główce, a z przodu spuszczonych na czoło i łagodzących wyniosły jego wyraz, świadczący o męzkiej inteligencji, lecz nie zanadto opadających na skronie: oto w ogólnym zarysie głowne szczegóły składające się na tę uderzającą całość, znaną Londynowi całemu pod nazwiskiem Vidy Carolan. W żadnym mężczyznie, a może nawet w wielu kobietach — nie budziło to zdziwienia, że nie zważając na otaczającą ją tajemnicę, zdołała oczarować wszystkich i wymódz ogólne dla siebie uwielbienie.

Tak, wymogła je — nie zdobywała hołdów, jak tyle innych pięknych kobiet. Była to królowa Vasati, nie Estera.

Ubrana była skromnie, lecz artystycznie: miała okrągły kapelusz atłasowy koloru starego złota, z dużem powiewnem piórem, i czarną aksamitną suknię z bufowanemi rękawami. W około szyi i u rąk było obszycie z bogatej koronki, lecz żadnych innych ozdób prócz gałązki polnych kwiatów z długiemi liśćmi, przypiętej na lewem ramieniu.

Podczas, gdy Rokeby Danvers, zapatrzony w zachwycie na cudne zjawisko, zapomniał nawet o obowiązku grzeczności, Summers pospieszył ją powitać, jak znajomą.

Miss Carolan zwróciła się ku niemu, podając mu rękę z dziwnie jasnym uśmiechem, którego jednak żaden uważny spostrzegacz nie nazwałby uśmiechem szczęścia.

— Jakże się panu wiodło na świecie, panie Summers, — spytała, — od czasu, gdy pana spotkałam po raz ostatni? — a dźwięk jej głosu i akcent świadczyły, że przyzwyczajona była mówić obcymi językami. — Czy pan nie byłeś wczoraj na przejażdżce konnej? Zdawało mi się, żem pana widziała zdaleka.

— Gdybym tam był, miss Carolan, nie mógłbym nie widzieć pani.

— Bardzo pięknie, — odpowiedziała śmiejąc się. — Sądzę, że niektórzy z panów muszą mieć spory zapas komplementów, skoro mogą znaleść zawsze gotowe i stosowne do okoliczności. Za to, jeśli się coś niezwykłego przytrafi, muszą być nieraz w niemałym kłopocie. Czyż nie prawda lady Morvyn?

— Jesteś straszliwie niemiłosierną dla tych biednych mężczyzn, — odrzekła zagadniona.

— I nie bierze pani na uwagę, — dodał pospiesznie Summers, — jak potężnie oddziaływać może natchnienie!

— Wystarcza mi to na dzisiaj, dziękuję panu. Niepodobna żywić się samym cukrem i biszkoptami, panie Summers, chociaż w swoim rodzaju dobre to są rzeczy; proszę więc, daj mi pan coś pożywniejszego, inaczej będę zmuszoną wbrew memu zwyczajowi prosić pana, abyś poszedł kogo innego darzyć swemi grzecznościami.

— Błagam o litość, a na znak przebaczenia proszę o uśmiech łaskawy dla jednego z moich przyjaciół, który umiera z pragnienia być przedstawionym pani.

— Z przyjemnością, jeśli tak prosta formalność, jak przedstawienie, ocalić może drogie, niewątpliwie, życie.

Biedny Rokeby Danvers, tak zwykle pewien siebie, zarumienił się po uszy składając niski ukłon przed tą wyniosłą pięknością i czuł się prawie tak onieśmielonym, jak przy pierwszem *levée* królowej. Jednakże, jesli to Vide spostrzegła, — może zresztą, widziała to już nieraz i nazbyt ozwyczajoną była z hołdami, jakie jej piękności składano, — zdawało się to nie pochlebiać jej wcale, nawet żadnego sprawiać na niej wrażenia; zaczęła prowadzić z Danversem swobodną i obojętną rozmowę, wcale nie na angielski sposób, i pod pewnym względem niezbyt pochlebny dla męzkiej próżności, ponieważ zdawać się mogło, że nie uznaje wcale przewagi płci silniejszej nad swoją. Nie było nic zuchwałego, ani wyzywającego w jej obejściu, ale również najmniejszej oznaki owego przymilania się, tej słodyczy,

w jaką się stroją młode panienki, a tem bardziej, ani śladu kokieterji. Rokebe Danvers miał sławę pięknego chłopca pomiędzy pannami wyższego kółka i należał do rzędu tych mężczyzn, których względów nie lekceważono, ponieważ miał świetne na przyszłość nadzieje; lecz Vida, tak mało zdawała się dbać o to, że rozmawiała z nim w podobny sposób, w jakiby się odzywała do jego siostry, lub ciotki; mówiła do mężczyzn tak samo, jak do kobiet. Może, gdyby brzydką była, mężczyznom by się to nie podobało; lecz piękna, czarująca dziewczyna może postępować, jak jej się podoba, błędy jej nawet nazwą „oryginalnością“ — nic jej za złe poczytanem nie będzie.

Rokeby był w siódmem niebie; w myśli nawet nie mógł się gniewać, gdy Vida wyśmiewała najdowcipniejsze jego słówka, lub, gdy w połowie najgorętszego komplementu, przerywała z nieporównaną krwią zimną, pytając, co myślał o tym, lub owym obrazie, albo, czy się zachwycał Burne Dżonsem.

— Wybacz mi pan, — rzekła przy jednej z podobnych sposobności, — zdaje mi się, żeś niezbyt uważnie studjował sztukę; przychodzisz pan do galerji obrazów, aby się przypatrywać ludziom, nie malowidłom. Oto nowu otwierasz pan usta i chcesz wypowiedzieć najpospolitszą i oklepaną grzeczność; bądź tak dobrym i zostaw ją na inny wypadek. Wiem, co o tem trzymać i przyjmuję ją w takiej wartości, jaką posiada.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Z obrazków wiejskich.

Słonko z góry już nie grzeje,
Żałuje promieni,
Wieje wietrzyk, chłodny wieje,
Mówi o jesieni...

Nasza wiosna, piękna nasza
Od brogów aż gnie się,
A wiatr chłodny od poddasza
Woń owoców niesie...

Ptaszę w gaju już nie śpiewa,
Lecz któż się tem smuci:
Nasza ptaszka czarnobrewa
Cały wieczór nuci...

Zwiędłe liście wiatr rozprasza,
Lecz któż o to pyta!
Cała myśl i duma nasza
To na runi żyta.

Wschodzi pięknie, wiankiem wschodzi
Dookoła wioski,
Ale zanim się obrodzi
Będzie wiele troski.

Józef Kuczyński.

Kronika z tamtego świata.

Moje teatralne stosunki i sympatje. Ucieszyłem się i zasmuciłem się. „Teatr polsko-żydowski“ P. Gimpel. Co to za jeden?.. Jego „trupa“ Podmoskowiczeni żydzi z Rosji. Przytułek zimowy u p. Mozera. Czy się godzi?... Ostateczny los.

Kto zna bliżej „polityczne“ stosunki miasta Lwowa, ten wie, niezawodnie, że ja przez bardzo długi przeciąg czasu, o tyle miałem styczność ze sferami teatralnemi, o ile z jakim aktorem napiłem się koniaku u Kosteckiego w nocy, lub ze ś. p. Czerwińskim, recenzentem teatralnym, pociągnąłem piwa ołomunieckiego, wieczorem — muszę, jednak, wyznać, że sympatyzowałem zawsze z tym światem cygańskim, z którym, lepiej jeść i pić, aniżeli żyć... Żydów lubię, cyganów lubię, aktorów lubię, bo ciągnie mnie coś do ludzi, którym się ziemia pod nogami chwieje, a oni, jednak, idą po niej... Więc w niezwykły sposób zainteresowała mnie wiadomość o istnieniu we Lwowie „polsko-żydowskiego teatru“. Myślę sobie, zawsze to postęp, jeśli żydzi sami zakładają teatr polski i w ten sposób przyłożyć chcą rękę do asymilacji. Chciałem zobaczyć to „dziwowisko“, jak czesi nazywają teatr i poszedłem pod *złodziejską srokę**)... Istotnie, tylko zwinne nogi złodziejów dających nura przed obławą policjanta, mogą bez szwanku przebyć drogę, która prowadzi pod tę *złodziejską srokę* gdzie rozłożył swoje nie penaty, ale najzwyklejsze pierzyny... p. Gimpel „dyrektor“ „polsko-żydowskiego teatru“. Kto jest ten pan Gimpel?... Jest to były chórzysta, który, jak powiada p. Franziak emerytowany tenor śpiewający obecnie na swej własnej kamienicy we Lwowie — przedtem, dwóch dziesiątek razem nie widział...

Co widział ten pan Gimpel i czego nie widział, a co może jeszcze zobaczyć — to już mniejsza o to — ale kto raz zobaczył ten „polsko-żydowski teatr“, a ma szczyptę dobrego smaku, zmysł ładu, choćby złożenia czterech nitek na krzyż, kto raz na tydzień kładzie czystą koszulę i ma nos nie zobojętniały — ten z pewnością odrzeknie się tej *polsko-żydowskiej sztuki*.

Nieszczęście, doprawdy, z tą uzurpacją polskiego imienia. Jakim prawem taki Gimpel, nazywa swój „teatr“ *polsko*-żydowskim, kiedy w nim, ani jednego wyrazu nie ma po polsku, ani jednego źdźbła jakiegoś powietrza polskiego, ani jednej nuty swojskiej, — dlaczego firmę naszą przyczepia do wstrętnego i brudnego żargonu, który uczciwa oświata, bez względu na wyznania religijne i przekonania polityczne, potępia?... Dlaczego jesteśmy na to obojętni, że pierwszy gorszy przemysłowiec bierze się do dobrej sławy naszego społeczeństwa, jak się bierze do starych pantalonów?... Szanuję każdą uczciwą pracę każdego żyda, jak chrześcijanina — obca mi jest wszelka rasowa nienawiść; w kwestjach społecznych i politycznych, wyznanie religijne, nie jest dla mnie decydującem — ale przecież intelligencja izraelicka, która się czuje polską, tego rodzaju bezczelność potępić powinna... Ciekawa robota tego pana Gimpla — pozganiał sobie wykolejonych żydków z Rosji i powyciągał jakieś żydówki z różnych kątów — zbił to wszystko w kupę, nazwał *„polsko-żydowskim teatrem“*, sam się mianował „dyrektorem“ — i *sioj!...* Dlaczego p. Gimpel nie nazwał tego *moskiewsko-żydowskim* teatrem, skoro aktorzy jego umieją po rosyjsku, rozmawiają z sobą tym językiem, i z Rosji tu przybyli? Dlaczego, wreszcie, nie nazwać *żydowskim teatrem*, skoro on niczem więcej nie jest i to w najgorszym gatunku?... Ale p. Gimpel chciał widocznie wymyśleć coś mądrego. Pan Gimpel wie zapewne, że pewien indyk także myślał i dostał bzika... Niech lepiej p. Gimpel nie myśli i nie łapie tego, co do niego nie należy bo... indyk myślał i dostał bzika...

Mało kto wie, co to są za obywatele owi *podmoskwiczeni* żydzi, których spora gromada rozlazła się teraz po świecie... Proszę się o ich cnoty zapytać tutejszych żydów...

Zastrzegam się, że nie mam wcale na myśli żydów zwykłych z pod zaboru rosyjskiego, czy to należących do inteligencji, czy do zacofańców — mówię o innych żydach z Rosji, których tak samo nie cierpi uczciwy żyd polski, jak go uważa za szkodliwego polak, a pomimo, że się podliznje Rosji, pogardza nim moskal.

I takim to *„artystom“* p. Mozer ma, podobno, dać przytułek zimowy w swojej giserni na ulicy Krasickich. Chyba, że myśli ich przetapiać na coś lepszego, ale i to byłaby próżna praca, bo p. Mozer, jako specjalista wie o tem, że są materjały tak rdzą przeżarte, iż się z nich nic zrobić nie da...

Wartoby jednak, aby się p. Mozer zastanowił nad tem, czy dobrze robi. P. Mozer jest zacnym obywatelem — niech pomyśli o tem, zwłaszcza, że chyba nie jest mu wiadomo, iż tego rodzaju *geszefta* stoją na słomianych nogach, a prawdziwego gruntu u nas mieć nie mogą, o niczyją sympatję, ani uznanie nie opierają się — szpecą sztukę i dobry smak. Prędzej, czy później klapnąć to musi, czy pod opieką p. Mozera, czy pod skrzydłami *złodziejskiej sroki*. Ostatecznie, niechby sobie uprawiał pan Gimpel „teatr“ *żargonowy żydowski* — niechby żył z niego, jeśli może i chce — ale wara nazywać go *polskim*, bo to jest publiczna mistyfikacja, obrażająca i lekceważąca nasze uczucia narodowe, których pan Gimpel zapewne nie pojmuje, ale o których wiedzieć powinien, choćby dlatego, że go polska ziemia karmi...

Nieboszczyk Lam.

*) Tak się nazywa miejsce na Wysokim Zamku we Lwowie, rodzaj letniej restauracji, gdzie rozstasował się *teatr żydowski*. (Przyp. Redakcji).

Von Kramst

przez

Autorkę „Opowiadań“.

(Ciąg dalszy patrz „Iskry“ Nr. 57).

VII.

Nauka z księdzem Mierzyńskim przeciągała się po kilka godzin dziennie; Jadwisia rozwinęła się umysłowo, w czternastym roku życia, była to już myśląca kobieta, chrześcianka.

— Posłuchaj mnie dziecię — mawiał jej, rozgadawszy się pleban — cierpienie to przeklęty nieprzyjaciel, z którym całe życie walczyć należy i wznieść się nad nie trzeba. Są ludzie, albo najsłabsi, albo mocni. O tamtych nie mówię — oni łatwo padają. Ale, czy wiesz ty dziecię, kto są ci silni, według Boga i ludzi? Zaprawdę, mała jest liczba tych wybranych, choć wszyscy, od bieguna do bieguna, powołanymi zostali. Ten silny, dziecię, kto w swem cierpieniu odnajdzie słowo, kojące boleść bliźnich!... ten silny, kto ze swej męki zrobi przyrząd ratunkowy do podźwignięcia upadłych! ten silny, kto w imię Boże umie zażegnać ludzki upadek! Trzeba być silną, dzieweczko, silną według Boga i ludzi, w miłości Boga i ludzi! Cierpienia przyjdą, gdy ziemia nie jest rajem. Ale w cierpieniu bądź silną, zwalcz je miłością Boga i bliźniego! Nie pęknie z bólu serce, gdy je oszańcuje Wiara i Miłość.

Jadwiga była zdolną, a pragnienie wiedzy posunęło ją prędko naprzód w ukształceniu. W szesnastym roku, rozpatrzywszy się w mechanice gospodarczej, doszła do przekonania, że i tę resztę z przeszłości przyjdzie utracić, jeśli się nie zaprowadzi reform w życiu nad stan, jeśli praca, jak rolna, tak administracyjna, nie stanie się systematyczną. Dwa lata temu, z jej inicjatywy obie nauczycielki, cudzoziemki, pożegnały swą uczennicę; teraz trzeba było na gwałt myśleć o innych jeszcze oszczędnościach.

W tym czasie dotknął ją cios srogi, straciła swego przewodnika, ksiądz Mierzyński zasnął w Bogu. W żalu po stracie, rozwinęła się samodzielność Jadwigi, zabrała się ona do pracy, za siebie i za nieboszczyka; na początek wzięła w swe ręce główny zarząd majątkiem: Nowak i Dąbrowscy byli teraz jej pomocnikami.

Troskliwość jej o dziadków przybrała charakter iście macierzyński. Starzyńscy zyskali moralnie i materjalnie na rządach wnuczki; otoczeni wygodami, w pieszczotach Jadwigi, pozbyli się tej melancholji, która podkopywała im zdrowie.

Ład, skład i rachunek zapanowały w żerdzińskim dworze. Jadwiga mogła teraz wstępować w coraz szersze koło obowiązków społecznych; nie tylko dwór, lecz wieś cała weszła w to jej koło.

Starzyńscy nieraz ubolewali nad tem, że wnuczka tak ciężko pracuje — i teraz

wzmianka Dąbrowskiej o niedospaniu, niedojedzeniu Jadwigi, zatrzęsła sercami starców.

— Czy, aby tylko zdrową jest ona? — zapytała babka. — Nie mogę wyraźnie dojrzeć jej twarzy, może mizerna, blada?

— Co to, to nie, — uspokajała pani Barbara — niechże sam pan powie! panna Jadwiga wygląda, jak róża.

W tej chwili wbiegła na ganek Jadwiga.

— Co ci jest, dziecko? — zawołał przestraszony Starzyński — Wszelki duch Pana Boga chwali!... jakaś ty blada, Jadwisiu!

Babka zadygotała, robota drutowa wypadła z jej rąk.

— Nieszczęście! — krzyknęła — dziecko zabija się pracą, a gdy tego dojrzeć nie mogę, kłamią przedemną, ukrywając prawdę.

Rzeczywiście, panna Zapolska w tym dziwnym nieładzie odzieży, z tą niezwykłą bladością twarzy, z potarganym włosem, z tym wzrokiem, w którym coś z walki, coś ze znękania, coś z trwogi pozostało, — miała pozór chorej, albo też nerwowo rozstrojonej istoty. W pośpiechu z powrotem do domu, gdzie czekali na nią dziadkowie z obiadem, Jadwiga zapomniała o swej powierzchowności; zmięszała ją też na razie ta troskliwość o jej zdrowie.

— O! zdrową jestem zupełnie, babuniu — odrzekła całując ręce starców — ręczę wam, żem zdrowa, a wiecie, że nie kłamię nigdy — tylko zmęczyłam się bardzo... Przepraszam was babciu, dziaduniu, za to spóźnienie się. I uspokajała troszczących się o nią.

Kiedy zasiedli do stołu, poczęła z wielkiem ożywieniem mówić o ochronie, o przywiązaniu, które jej dzieci okazują. Dziadek jedząc nie spuszczał z niej wroku.

— Biedne dziecko, — ozwał się — czyż koniecznie potrzeba, abyś pracowała za wszystkich i dla wszystkich?

— Za wszystkich nie, dziadziu, i dla wszystkich także nie, lecz pracować trzeba za siebie, dla swoich.

— To dla nich, mówiła Starzyńska, — a co dla ciebie.

— Dla mnie, babuniu, to co i dla nich — poczucia chrześciańskie w społeczeństwie — światło w prawdzie.

Rozmowa stała się ogólną, wszyscy, prócz Dąbrowskiej brali w niej udział.

Pani Barbara, uspokojona co do Jadwigi, wróciła do dawnej zgryźliwości z powodu męża.

— Państwo nie uważają, że Franciszek coraz więcej pozwala sobie; dziś nawet wcale nie przyszedł na objad.

— Prawda, — potwierdziła Starzyńska. — Zły to obyczaj nietrzymania się reguły, jest to lekceważeniem domowego porządku.

— Otóż to, — rzekła Dąbrowska — a gdy jeszcze nieszacunek dla domu spowodowany zostaje przez bałamuctwo... to zbrodnia!... Wiem ja, że on przyjdzie, wykłamie się, uwierzą mu — i na tem koniec, a ja muszę połknąć obrazę boską, choć rozumiem dobrze, co się święci.

Po skończonym objedzie, Jadwiga podała ramię babce, Starzyńskiego z fotelem wytoczył Nowak na ganek, za fotelem udali się wszyscy na świeże powietrze, pod zielone sklepienie.

Jadwiga była już zupełnie panią siebie, chwilowa bladość jej lica odzyskała zwykłą swą świeżość.

Tyle dziś było do spełnienia, a tyle jeszcze spełnić należy! Opatrzyła naprędce Bartka i Mateusza; dziś jeszcze musi zabrać, co trzeba z domowej apteczki i pójdzie przewinąć im rany; może nawet wypadnie przyzwać doktora? Myśli te sprawiły, że była roztargnioną nieco.

— Coś ci dolega, Jadwisiu, — zrobił uwagę dziadek.

— Zmęczoną jestem — odrzekła — pozwólcie, dziadziu i babuniu, że dziś zastąpi mnie Dąbrosia w czytaniu gazet, — odpocznę trochę w mym pokoju.

Lecz zaledwie powstała, by odejść, gdy na ganek wszedł Dąbrowski.

Jadwigę przejął dreszcz, od stóp do głowy.

— Przepraszam państwa, że chybiłem na objad, — zaczął pan Franciszek — ale wypadek okropny nie pozwolił mi stanąć na godzinę.

— Co za wypadek? — pytali Starzyńscy.

— Sąsiada naszego z Wilczanki pokaleczyły wilki w lesie.

— O, nieszczęśliwy! — zawołała Starzyńska.

— Wilki? — zagadnął ze zdziwieniem pan Tomasz — wilki w lecie? to niepodobna! chyba jeden wilk wściekły.

— Boże wszechmocny, zmiłuj się nad nieszczęśliwym! — wyrzekła Starzyńska.

— Nie wilk wściekły — ciągnął dalej Dąbrowski — lecz samiec i samica w legowisku, do którego pan von Kramst wyprawił się sam jeden. Rozdrażnione zwierzęta, po pierwszym jego strzale, broniąc szczeniąt, rzuciły się na niego z okropną zajadłością; szczęście, że będąc nieopodal, usłyszałem strzał i hałas, pospieszyłem więc z pomocą, a we dwóch udało nam się zwalić samca i samicę. Oto jedno szczenię z tej wyprawy — dodał, wskazując na wilczę, które puścił przy ganku, — drugie wziął z sobą pan von Kramst.

— Cóżeś tam robił za rzeką, żeś tak zaraz mógł przyjść z pomocą temu panu? — zapytała pani Barbara, mierząc męża podejrzliwym wzrokiem.

— Co robiłem? Ty zawsze sądzisz, że ja sobie, ot tak, z założonemi rękami spaceruję.

— Dajże pokój, Basiu! — zgromiła Starzyńska. — Widocznie krokami Dąbrowskiego Opatrzność kierowała, gdy uratował człowieka od zguby. A czy nie grozi temu panu niebezpieczeństwo?

— Nic mu nie będzie, ale zawsze bestje skaleczyły go trochę.

Opowieść przygody z wilkami zatrzymała wszystkich na ganku, Starzyński chciał wiedzieć szczegóły wyprawy, Nowak wtrącał swoje uwagi. Jadwiga wysunęła się cicho do swego pokoju.

Tu przejrzała się w lustrze, aby sprawdzić tę jakąś w swej postaci niezwyczajność, która uderzyła dziadka.

— Ależ, doprawdy, — zawołała — wyglądam, jak desperatka! Nie dziw, że przestraszyłam dziadunia.

I wziąwszy grzebień z toalety, zabierała się do rozczesania warkoczy.

Nagle przeszedł ją dreszcz dziwny, dreszcz nie strachu, nie wstrętu, lecz czegoś, co ją wprawiło w stan bezsilności nie dającej się określić. Na kończynie promienia z warkocza, spostrzegła przywarty do włosów, krwi płateczek. Ta zastygła, ciemna kropelka, okuła naraz wszystkie jej władze duszy i ciała w jakieś miękkie, pieszczotliwe, a mocne pęta. Jadwiga stanęła, jak wryta, z wzrokiem utkwionym w plamkę, którą z włosami trzymała w ręku. Stała, nie drgnąwszy, niby w senności jakiejś, niby skamieniała w obec dramatu nad rzeką, dramatu, który teraz powtarzał się w jej myśli, w najdrobniejszych swych szczegółach. Przed oczyma jej duszy, wywijał się z owej krwawej plamki obraz jego... i teraz dopiero Jadwiga mogła się mu przypatrzeć...

Był piękny, młody, silny, usidlony brutalną siłą, Bajazet w klatce... był szlachetny, bo puścił w niepamięć swą krzywdę... był odważny, tak, odważny do szaleństwa, mówił jej Bartek, że sam, pierwszy, zaczepił napastniczą zgraję, porwał się na trzydziestu kilku... był też subtelnym w delikatności... milczał... nie miał czczych słów dla niej, gardził pustą frazeologją, dobrą dla scenicznego efektu, płaską wobec tego co zaszło... Coś jednak mówił? Nie, prawie nic nie rzekł!... tylko patrzył jej w oczy... dziwnie patrzył...

Gorącość jakaś oblała purpurą twarz Jadwigi, na wspomnienie tego patrzenia.

Co ona zrobi z tym płatkiem na włosach? To jego krew! Krwawa ta plamka ma dla niej wejrzenie jego wzroku... Jadwiga zmrużyła oczy... lęka się czegoś... ten krwi płatek wrzuca ją znowu w dziwne dreszcze... Chce wiedzieć czego się lęka... Obawy jej pewnie są w związku z tą ciemną gromadą, której umysły światłem bożem starała się rozwidniać?... Mimo zwrotu jej myśli do chat wiejskich, on wiąże się uparcie z temi chatami w jej pamięci.

Poczyna jej się zdawać, że jest chorą w istocie, — nigdy nie chorowała, ale teraz?... Była pewną, że posiada żelazną organizację, że jest wyjętą z pod praw fizycznych cierpień, taka zawsze czerstwa i zdrowa, zahartowana w ruchu, nic jej nie męczyło, żyła dotąd bez dolegliwości ciała... Ale dziś uczuwa niemoc, coś w tej chwili odjęło jej władzę... Łzy jej płyną po twarzy... ona: silna, wytrwała, energiczna, płacze, jak chore dziecko, płacze, że jej coś dolega — i z przyczyny tego płaczu zdać sobie sprawy nie może.

Nagle podniosła w górę promień włosów z krwawym płatkiem.

— To krew von Kramsta! — zawołała.

I w tej chwili niemoc odwinęła się od niej; otarła łzy, a sięgając po nożyczki leżące na stoliku, szepnęła:

— Trzeba zatrzeć ślady ciemnoty tych nieszczęśliwych!

Naraz zgrzytnęły cicho nożyczki, a jednocześnie ktoś zapukał do jej pokoju.

Jadwiga wsunęła pospiesznie obcięte pasemko włosów do tualetowej szuflady.

— To ja, panno Jadwigo, — ozwał się głos za drzwiami.

— Wejdź, Dąbrosiu! — odrzekła już ze spokojem wewnętrznym.

— Przychodzę ze sprawozdaniem, panno Jadwigo, — począł Dąbrowski. — Nikt nie wie o niczem; rozgadałem już historję o wilkach; nawet przenikliwą, jak djabeł Basię wywiodłem w pole, sądzi ona, że z powodu wilków spóźniłem się na objad... Skaranie boskie z tą Basią! ta kobieta zatruwa mi życie, opiekując się każdym mym krokiem. Niech sobie pani wystawi, idę rano z fuzyjką, może się co trafi spolować, patrzę, Basia już przy stodołach, śledzi gdzie pójdę... Ja w bok, między krzaki, ona też w bok za mną... myślę sobie: goń ty wiatr w polu, kiedyś taka! i zaszyłem się w gąszcz... Ona poleciała na złamanie karku w prawo, ja myk, w lewo — i uciekłem za rzekę, chociaż inny był projekt: polowanie u siebie, nie na cudzym gruncie. No, nieźle to ja-

koś wypadło, ale zawsze mimowoli poszedłem za naszą granicę, Basia mnie tam wepchnęła...

— Lecz co się stało z von Kramstem? — zagadnęła nieśmiało Jadwiga.

— Co się stać miało? — za dwa dni będzie zdrów, jak ryba... Powiadam pani, panno Jadwigo, Basia mnie piecze na wolnym ogniu, bo jej się zdaje, że ja za młynarką... At, nawet obrażać uszów pani nie mogę tem, co tej kobiecie w głowie świta...

— Ale jakże się skończyło z von Kramstem?

— Zaraz opowiem, panno Jadwigo, tylko pierwej świętemi słowami proszę panią, abyś wytłomaczyła Basi, że nie chodzę do młyna... Co znowu?... noga tam moja nie postaje... Czy ja to chłystek jaki, czy co?

— Dobrze, lecz mówże raz, Dąbrosiu, coś zrobił z von Kramstem?

— Z von Kramstem to tak: dzielny to chłopiec, walny z niego człowiek! Choćbym miał zginąć z ręki Basi, powtórzę to samo. Wszelako mam mu za złe, że przylazł nad rzekę wojować z chamami, jak z ludźmi; ot, ma za swoje, pobodło go bydło i kwita, — sam mówił, że mało brakło do wyprawienia go na tamten świat.

Zachciało się chamstwu napaść na dwór? — dobrze, moje źrebce, napadajcie, zgoda! Na jego miejscu, czekałbym na tę trzodę w dziedzińcu, z bizunami... Panno Jadwigo, z chamem tylko bizunem dojdzie ładu, reszta romanse, dalibóg romanse! Czy mało szamrajstwa przy wilczańskim dworze? Zebrać to było w kupę i hajże na nich, jak się zbliżą!... łup, łup! po łbach bizunem! Zobaczylibyśmy, jakiej to miny nabrałaby hałastra!... A potem jeszcze, swoją drogą, proces o najście domu; to byłby taniec dla chama, aż miło! Ale ten von Kramst, z przeproszeniem pani, panno Jadwigo, ma usposobienie, słowo w słowo, do pani podobne: czepiają się go romanse z chłopstwem... ot, i pozwolił zdezelować sie chamom...

Jak tylko rozstaliśmy się z panią, mówię mu: może lepiej odprowadzę pana wprost do wilczańskiego pałacu? bo jeszcze nie rozumiałem dobrze całej tej sprawy; a on mi zaraz: „Nie, nie; boję się, aby nie docieczono prawdy“. Myślę sobie kogóż ty się tak boisz? chyba że masz tam u siebie jaką Basię-piłatkę, która cię nęka... Chodźmyż do młyna — rzeknę — tam się jakoś poradzi, zwłaszcza, że młynarz, stary pluder, powlókł się do miasta.

I poszliśmy.

Młynarka zastrachała się okropnie, bo to przecie jej dziedzic: alem jej szepnął na ucho:

— Widzisz Jagusiu, — powiadam — wszystko to z twej przyczyny; oczkami strzyżesz, wabikiem zwołujesz, kręcą się też gaszkowie koło młynu: wczoraj plenipotent, dziś sam dziedzic, a ja choćby samemu djabłu nos przytnę!... Póty dzban wodę nosi, póki się ucho nie urwie... masz teraz naukę, popadłem w złość okrutną, bo jestem krewki... i płatnąłem twego dziedzica, ponieważ chodzi mi o twoją cnotę. On nie piśnie o tem, bo to honorowa sprawa, a jak ty rozgadasz, niech się w sądach publicznie dowiedzą, że Dąbrowski naszpikował gaszka twego, i naszpikuje plenipotenta.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Teatr.

Debiut pani Róży Schwabel w operetce *Don Cezar* wypadł pomyślnie. W pierwszym akcie śpiewaczka była tak wzruszoną, że formalnie głos jej zamierał w gardle — dopiero w następnych aktach rozśpiewała się i dowiodła, że może być pożyteczną dla naszej operetki, tembardziej, że wygląda ujmująco i powabnie na scenie.

Są rozmaite „stracone widety“. Stają czasem na nich autorowie i pomimo niezaprzeczonego literackiego talentu, nie umieją bronić tego, co w głębi duszy, razem z całem społeczeństwem, gorąco ukochali...

Do takich należy dramat p. L. hr. Starzeńskiego p. t. *Stracona wideta* w zeszłym tygodniu po raz pierwszy na scenie skarbkowskiej, przedstawiony.

Wyznajemy otwarcie, że, jakkolwiek talent pisarski p. Starzeńskiego, jest powszednim zjawiskiem w naszej literaturze — jednak należy mu się dość wybitne stanowisko ze względu na patrjotyczne tendencje, na ducha szczerze polskiego, na świętość zasad, które autor „Gwiazdy Syberji“ w szeregu prac swoich dramatycznych, uwydatnił i co do języka, i formy, oprawił nie raz w ramy pięknie wyrzeźbione.

Dramat *Stracona wideta,* nie może być wzięty pod surową krytykę, bo by się z niego nie zostało, ani jednego strzępa...

Przedewszystkiem, należałoby już zerwać z tą z gruntu fałszywą tendencją, że, co niemiec, to łotr, a co polak, to najszlachetniejszy człowiek. Na takiej podstawie, wychodzą z pod pióra autorów, tego rodzaju ludzie, co bohater w *Straconej widecie,* który się bił za ojczyznę, jęczał w kopalniach syberyjskich i wrócił z nich, tylko po to, aby w ciągu jednego roku stracić kolosalną fortunę i wleść w kieszeń prusaka... Tyrady patrjotyczne, bardzo, zresztą, piękne, w obec takiego postępowania, zakrawają na grubą ironję i z takimi „bohaterami“, możemy przy bardzo ślicznym, patrjotycznym marszu spacerować... na cmentarz... Trzy razy umierał ten bohater: w bitwie z moskalami, gdy wrócił z Syberji z zatrutych kopalni i nareszcie, gdy się sam napił, nota bene, indyjskiej trucizny na poczciwej wielkopolskiej ziemi — szkoda, że zaraz nie zginął, gdy się bił z moskalami — byłoby i dla niego lepiej, i dla żony, i dla brata Włodzimierza, który także deklamuje, ale dokupuje wsie, wydziera prusakom z rąk ziemię naszą, pracą, a rządnością dorabia się miljonów i potrzebuje tylko miłości żony swego rodzonego brata, którego ma za umarłego, a który wraca z Syberji...

Pan Starzeński pod względem budowy w ogóle, nigdy nie zadaje sobie wiele pracy — ale w *Straconej widecie,* posunął już to do bezbrzeżności... Opracowanie pojedyńczych postaci w *Straconej widecie,* jest tak doraźne, tak dziwnie powierzchowne, tak zużyte, tak często ckliwe, że nadziwić się nie możemy, jak autor tak wytrawny, tak, wreszcie, prawdziwie utalentowany i mający tyle sposobności do obserwacyj życia z jego idealnej i prozaicznej strony — może robić takie kopje ze starych i nie czytanych już romansów...

Odegranie *Straconej widety* było bez zarzutu — szczególniej też pan Zawadzki, jako Andrzej Darzycki i pani Stachowicz, jako jego małżonka, odznaczyli się piękną i wyrazistą grą dramatyczną. Charakterystyczno komiczne postacie, strasznie już oklepane, z humorem odegrali pp. Frenkel i Wojdałowicz. Inne role mniejsze, starannie odegrali pp. Szobert, Woleński, Starzewski, oraz pani Gostyńska. Panna Szymańska, posiada dziwnie afektacyjny sposób mówienia, naleciałość (jeśli to jeszcze naleciałość) prowincjonalna, z którą reżyserja powinna coś poradzić...

Panna Pankiewicz do niedawna artystka teatru poznańskiego, debiutowała na skarbkowskiej scenie w dramacie *Hrabina Sara* w tytułowej roli. Panna Pankiewicz należy do talentów wyższych, a rozporządzając powabnymi zewnętrznymi oznakami i wzrostem, ma prawo objąć szerokie koło poważnego repertuaru. Gra artystki ma pewną oryginalną stronę: nie jest sabtelizowana, lecz rysowana grubo, jakby węglem, którą tembardziej uwydatnia silny i namiętny organ mowy zabarwiony lekkiem seplenieniem, które zresztą, nie obniża gry szlachetnej, ognistej i bardzo inteligentnej.

W dramacie tym objął rolę jenerała p. Zawadzki — grał ją z naturalnym spokojem, z miarą artystyczną — bardzo dobrze.

Ciekawi też jesteśmy, kto dał informację, mundurowania francuskich oficerów w *Hrabinie Sara*?.. W Paryżu, w sztuce tej nie występują oni wcale w mundurach, dlatego, że we Francji, a szczególniej też w Paryżu, oficer po za służbą chodzi po cywilnemu, a w salonie, na balach i rautach bezwarunkowo nigdy na siebie munduru niekładzie — zawsze jest w cywilnym fraku. Nietylko jest taki zwyczaj towarzyski we Francji, ale władza wojskowa zaleca, aby oficerowie francuscy, po za służbą w mundurach nie chodzili.

Pożyteczne wiadomości.

Sztuczny jedwab. Niezmiernie zainteresowanie budzi obecnie na wystawie paryzkiej wynalazek p. de Chardonnet, który w pawilonie wystawowym urządził fabrykacją materji podobnej do jedwabiu, a nawet materją ową nazwał sztucznym jedwabiem. Mieszanina, z której wynalazca otrzymuje materją, składa się z alkoholu, eteru, cellulozy azotowanej, chlorku że aza, cyny i kwasu garbnikowego, rozpuszczonego w alkoholu, a stosunek tych części składowych do siebie jest tajemnicą wynalazcy. Płyn w ten sposób przygotowany, przecedzony w hermetycznie zamkniętym przyrządzie, ścieka do zbiornika, zkąd wązniuchną niteczką spływa do naczynia z wodą zaprawioną małą ilością kwasu saletrzanego, gdzie twardnieje, poczem, jak każda nitka, z łatwością na kłębek nawijać się pozwala. Włókno ztąd powstałe, nadaje się znakomicie do przędzenia, jest przeźroczyste i miękkie w dotknięciu, zupełnie jak jedwab, a ma jeszcze tę zaletę, że przyjmuje wszystkie barwniki, jakie tylko pozwalają rozpuszczać się w eterze, lub alkoholu i niełatwo jest zapalne. Jeżeli trwałość odpowie wyglądowi materji, naówczas jedwab naturalny, znajdzie w sztucznym niepokonanego przeciwnika.

Odwieczne drzewa. W okolicach miasta Bakczyseraju na Krymie, znajduje się w pewnym ogrodzie dąb olbrzymi, mający cztery metry średnicy górą. Dąb ten podobno liczy przeszło tysiąc lat. Jeszcze większym jest wiąz, znajdujący się w okolicach tegoż miasta. Trzy metry średnicy ma pień orzecha włoskiego znajdujący na południowem wybrzeżu Krymu. Był on znany jeszcze Genueńczykom, którzy nazywali go „drzewem stu rycerzy“, ponieważ tylu rycerzy pomieścić sie mogło pod cieniem jego konarów.

Wędrówka mrówek. Z nad granicy gubernji Chersońskiej, jak donoszą dzienniki rosyjskie, wyruszyła olbrzymia masa mrówek, kierując się ku północy. Mrówki szły we wzorowym porządku ławą, mającą blizko łokieć szerokości, a przeszło 60 łokci długości. Armia tych owadów postępowała równo i bez przestanków, z szybkością blizko dwóch stóp na minutę, trzymając się obranego kierunku. Przednie szeregi tej dziwnej armii szły bez pakunków, ostatnie dźwigały niewylęgnięte gąsienice, ziarna, kawałki drzewa, w ogóle wszystko, co jest niezbędne do założenia mrowiska. Po przejściu mrówek, wszystkie mrowiska okazały się pustemi, mniejsze kolumny mrówek dążyły za ową wielką armią, w tym samym kierunku z południa na północ. — Najstarsi ludzie nie pamiętają czegoś podobnego. Należałoby dla dobra nauki obserwować ową emigracją pracowitych owadów.

Lekarstwo na dyfterją. Lekarz niemiecki dr. Rouge zaczął od pewnego czasu używać araku na tę straszliwą chorobę i przekonał się, że działa zbawiennie. W kilkudziesięciu przypadkach dyfterji, które dr. Rouge leczył, nie zaszedł podobno ani jeden wypadek śmierci. Jednorocznemu dziecku daje się co dwie godziny pół łyżeczki od herbaty, dzieciom od 2 do 4 lat po całej łyżeczce, dzieciom od 5 do 6 lat po pół łyżki stołowej, od 12 do najpóźniejszych lat po całej łyżce. Chorzy śpią po zażyciu dobrze i wyzdrowienie szybko następuje.

Króliki. Zwierzątka te chowane u nas głównie dla przyjemności i zabawki dzieci, w Australji stały się krajową plagą. Cała prawie australska ziemia w dłuż i w szerz jest podminowaną kanałami podziemnymi pokopanymi przez żdziczałe króliki, w których one żyją i mnożą się. Rolnicy przed królikami opędzić się nie mogą. Jak szarańcza na Kaukazie, tak króliki w Australii rzucają się na zasiewy, łąki i ogrody i wszystko doszczętnie niszczą. Rząd tamtejszy, aby pozbyć się tej plagi, wyznaczył bardzo wysoką nagrodę dla tego, ktoby podał najlepszy sposób wyniszczenia królików. Pasteur, słynny lekarz paryzki na wściekliznę, podjął się tego zadania i za pomocą cholerycznej trucizny, tysiące królików zabija. Nie pomogło to jednak dotąd wiele, gdyż miliardy królików tak łatwo wytępić się nie dadzą.

Tymczasem mieszkańcy tamtejsi mają z królików i pewne korzyści. Nowa Zelandja wyprawiła za granicę dotąd przeszło 70 milionów skórek za cenę 1 i pół marek; z kolonii zaś Wiktorja w przeciągu lat 10 wysłano do Anglii przeszło 30 milionów skórek. Anglia też zaopatrzoną jest w ten towar na dwa lata, gdyż oprócz skórek australskich, Anglia sprowadza skórki królicze z Belgii. Sam Londyn potrzebuje belgijskich skórek przeszło 6 milionów sztuk rocznie. Są one dla swej wielkości, koloru i połysku więcej cenione od australskich. Oprócz korzyści odnoszonych ze skórek, mieszkańcy australscy mieli także nie małe korzyści z mięsa królików, używając takowe na konserwy. Pewne towarzystwo w tym celu miało 40—50 strzelców, którzy zabijali 6—7 tysięcy królików dziennie. Lecz kiedy ostatniemi czasy zaczęto tępić króliki za pomocą trucizny, konserwowania mięsa z królików zaniechano

Odpowiedzi od Redakcji i Administracji.

P. Pytajnik we Lwowie. Po co nas nudzić pytaniami, kiedy pan sam wie dobrze o kim mowa...

P. Grzech. Poseł do Sejmu krajowego u nas pobiera 5 złr. djet dziennie, a do Rady Państwa w Wiedniu 10 złr. — naturalnie tylko podczas obrad

P. Marcinkowski w Chicago. Obliczymy wszystko i reszta tak policzoną zostanie, jak sobie pan życzy. Szczegółowy rachunek poślemy.

P. P. Autorom wierszy: „Do posłów", „Na Kulparków", „Szukaj szczęścia" i „Marnotrawni synowie" — utwory panów drukowane nie będą.

P. J. Massthay w Schuykiel (Ameryka). Donieśliśmy panu osobno, i tu powtarzamy, że na każde żądanie brakujące numera „Gońca" i „Iskry" możemy zawsze przesłać, a co do książek, to najlepiej udać się do jakiej księgarni, bo na składzie druków innych wydawców nie mamy

P. Delaval w Grybowie. Resztę, to jest 5 *złr.* otrzymaliśmy za ogłoszenia, które w dalszym ciągu umieszczane będą.

Nadesłane.

Cztery deski.

Mogę pytać: kto na świecie, i gdzie się znajduje?
By utwierdził, iż do szczęścia nic mu nie brakuje.
Bogaczowi, któren we wszelkim dostatku upływa
Na spokoju i na zdrowiu najczęściej mu zbywa,
Drugi ma czerstwe zdrowie, cóż gdy zawsze w nędzy,
Na śniadanie, na obiad — wciąż mu brak pieniędzy...
Znowu inny przepada za marnością świata,
Obojętny na wszystko, na niedolę brata...
Tańczy, hula, gra w karty wśród wesołych ludzi —
Potem psuje się wszystko — i wszystko go nudzi...
A tak wszelkie i różne żądze nas śmiertelnych gonią,
Czyż to nie można nazwać prawdziwą ironią?...
Umiarkowane życie, jest to szczęściem całem —
Zdrowie, praca modlitwa, przestanie na małem,
Albož to wszystko nie nasze? co nam bawi oczy?
Filozof o nie nigdy sporu już nie toczy,
Gdyż z tych niezliczonych skarbów tak wielkiego [świata
Cztery deski zostaną — zbyt malutka chata.

Zaleszczyki.

Ed. Fr.

!!KONKURENCYJNE!!
Koncesjonowane
przez Wys. c. k. Namiestnictwo
CENTRALNE
BIURO SŁUG
Jana Litwińskiego
we Lwowie,
przy ul. Halickiej l. 8
w Krakowie,
w Rynku głównym pod l. 5

poleca urzędników pryw., oficjalistów, buchhalterów, pomocników handlowych itp., bony, gospodynie, kasjerki, panny służące, kucharki, pokojowe, bufetowe, dziewczęta do wszelkich posług domowych, niańki, praczki, posługaczki, mamki, lokajów, stangretów, służących, posługaczy; stróżów kamienicznych, parobków, oraz wszelkiego rodzaju służbę dworską i miejską.

Również biuro poleca ludzi do froterowania, zapuszczania podłóg, czyszczenia okien, trzepania mebli i dywanów.

Stały abonament roczny
dla Obywateli miasta:

I. klasa:
P. T. Służbodawca utrzymujący stale 1 sługę płaci 1 złr.

II. klasa:
P. T. Służbodawca utrzymujący stale od 2 do 5 sług płaci 1 złr.

Za zmiany sług w roku nie dolicza się żadnych dodatków prócz powyższej taksy rocznej.

Zwykła sługa płaci rocznej taksy 50 ct. 4890 6—1

Nowo otworzony
MAGAZYN
pod firmą
ANTONI GUDIENS
we Lwowie
przy placu Marjackim l. 8.
poleca (4875-12-2).
po najprzystępniejszych cenach
z pierwszorzędnych fabryk
skład płócien,
stołowej bielizny,
bielizny męskiej,
bielizny wełnianej (prof. Dra Jaegera),
krawatek i kołnierzyków,
pończoch i szkarpetek.
Komisowy skład
Kołder i materaców.

ANTONI ROZMANIT
KRAKOW.
Fabryka parowa
Cykorji, Surogatów kawy i kawy figowej
w Rakowicach pod Krakowem

Wyrabia z produktu surowego własnej plantacji wszelkie gatunki Cykorji i sztucznej Kawy, odznaczające się bogactwem części pożywnych, tudzież doskonałym smakiem i zapachem.

Fabryka poleca przedewszystkiem:
Surogat Kawy w pudełkach (szufladkach).
Surogat Kawy w szklankach.
Kawę śrutową francuską Rozmanita.
Cykorję krakowską gorzką.
Kawę figową.
Cykorjową Kawę perłową.
Kawę krakowską w skrzyneczkach wyborową. 4788-st. 3

Zalecając wyroby mojej fabryki, przewyższające zaletami wszelkie tego rodzaju produkta zagraniczne, żywię niepłonną nadzieję, że Panie Gospodynie nasze, które otaczają zawsze i wszędzie swem życzliwem poparciem przemysł krajowy, zechcą i tu być pomocnemi w popieraniu i rozpowszechnianiu wytworów moich.

Do nabycia we wszystkich handlach.

Restauracja
w Hotelu Drezdeńskim
w Krakowie
Stanisława Majewskiego

należy do **najlepszych** i **najzdrowszych** restauracyj, a przytem ceny są **umiarkowane**, doskonała usługa, czystość wzorowa i bardzo ładny lokal. 4815 8—4.

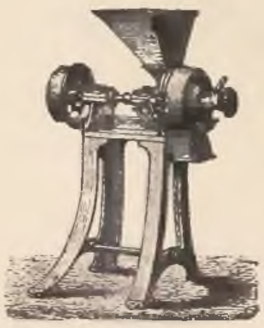
Robert Schneider
Fabryka
maszyn i gisernia
Specjalny wyrób
przędzalni i maszyn
apreturowych
Biała przy Bielsku.

Zaszczycona medalem na Wystawie krajowej w Krakowie, Bielsku, Gracu, Wiedniu i Görlitz.

Wyrób doskonały i z całą ścisłością techniczną wykonywany.

Cenniki posełają się na każde żądanie, jak również wszelkie wyjaśnienia. Ceny o ile możności niskie. (4863-8-2).

Fabryka Machin
i Odlewnia żelaza



Edm. Schmeja
Biała przy Bielsku
(Galicja)

premiowana na wszystkich wystawach światowych i krajowych. Fabryka ta posiada najwięcej dyplomów honorowych, odznaczeń i medali w całej Austrji.

Specjalność:
Machiny rozdrabniające podług własnych patentów.

Młynek „Excelsior“
patentowany we wszystkich przemysłowych państwach
Europy, Ameryki i Australii.
Uniwersalna machina do śrótowania i rozdrabniania

dla celów gospodarczych i przemysłowych, jako to: do śrótowania i mielenia wszelkich produktów paszy, jako też do wyłuskiwania nasion koniczowych, do rozdrabniania wszelkich materjałów przychodzących w młynach, fabrykach skór i garbarniach fabrykach surogatów cykorji, fabrykach cukru, browarach i gorzelniach, fabrykach spodium, w młynach do mielenia kości, soli i drzewa kolorowego, fabrykach krochmalu, fabrykach chemicznych, farbiarniach i fabrykach farb, papierniach, fabrykach prochu, fabrykach nawozów, w handlach towarów korzennych i kolonialnych, aptekach, chodowców koni i t. d. i t. d 4861 20—2

Wyłączny wyrob
EDM. SCHMEJA, Biała,
wynalazca i posiadacz patentu.

Fabryka papieru
Maurycego Schrettera
w Żywcu,

poleca różne gatunki i rodzaje papieru do rozmaitych użytków **mocne, tanie i z dobrej masy.** Próbki na żądanie wysełają się natychmiast. Wszelkie zamówienia wypełniają się **z największą rzetelnością i akuratnością.**
4888 12—2

Okulista
Dr. B. Gesang
były elew-asystent i operator na klinice okulistycznej prof. Fuchsa w Wiedniu, mieszka przy ul. Trzeciego Maja (Majerowskiej) l. 7 i ordynuje od 10 — 12 i od 3 — 5. (4874-4-2).

J. P. Klein
Fabryka maszyn i gisernia
Biała przy Bielsku.

Wyrabia wszelkiego rodzaju maszyny w zakres, wielkich fabryk wchodzące. Roboty wykonywane są z wzorową akuratnością. Wszelkie wynalazki i postępy w mechanice i technice zastosowane są przy wyrobach maszyn i ich konstrukcji w tej fabryce. — Wszelkie zamówienia uskuteczni się najstaranniej i szybko.

Daje się maszyny także na raty.

Roboty wykonywują się pod kierunkiem wykwalifikowanych majstrów i techników. Wszelkich objaśnień, oraz cenników udziela fabryka najchętniej i na każde żądanie. (4862-10-2).

Ceny umiarkowane.

KAWIARNIA
„Orient“ Olgissera
w Czerniowcach.

Urządzona elegancko i zaopatrzona we wszystko, poleca się P. T. Publiczności. (4829 3-3).



Poleca
SWOJE
WYROBY,
jakoteż
wszelkie
materjały budowlane.
4884st.—2

Galicyjski Bank kredytowy
wydaje od 12. lutego 1889. roku począwszy:
4½% Asygnaty kasowe
z 90-dniowem wypowiedzeniem i
4% Asygnaty kasowe
z 30-dniowem wypowiedzeniem.

Wszystkie zaś znajdujące się w obiegu **5% Asygnaty kasowe** z 90-dniowem wypowiedzeniem oprocentowane będą **począwszy od d. 15. maja 1889. po 4½%. Lwów, d. 11. lutego 1889.**

(4352-st.) **Dyrekcja.**

(Przedruk nie będzie opłacony).



Pierwszy krakowski Zakład pogrzebowy
WŁ. LIPIŃSKIEGO
w Krakowie, ul. Mikołajska (dom Wgo Dra Śliwińskiego)
posiada w wielkim wyborze [4726-15-11]

trumny metalowe, dębowe i z miękkiego drzewa, materace i poduszki do trumien, wszelkie ubrania żałobne, krzyżyki, krzyże nagrobkowe. Wielki wybór wieńców z sztucznych, jak i z żywych kwiatów. Szarfy z napisami do wieńców. Najpiękniejsze karawany oszklone i nieoszklone. Remizy, powozy parokonne i jednokonne.

Wysela ludzi w bogatych uniformach do asystencji przy pogrzebach, oraz urządza pogrzeby od najwspanialszych do najskromniejszych po umiarkowanych cenach i ze ścisłą punktualnością.

Adres dla telegramów: *Kraków — Lipiński — Rogatka Zwierzyniecka.*

Odpowiedzialny za Redakcję i Wydawnictwo: Fr. Ks. Kowaliszyn. Z drukarni W. A. Szyjkowskiego ul. Kopernika l. 5. Telefon 117.